

Horain J., Listy z Kalifornii, XIX, „Gazeta Polska” 10 II 1877, nr 32.

Gazety nowojorskie doniosły o śmierci ziomka naszego, Siellawy, niegdyś obywatela gub. witebskiej. Poznałem go osobiście w czasie pobytu w Nowym Jorku, przeto mogę udzielić kilku szczegółów z jego życia i jeden psychologiczny. Sp. Siellawa (nie wiem, jakie miał imię chrzestne) był człowiek wysoko ukształcony, prawy i szlachetny. Miał wszakże jedną dziwną monomanię: wszędzie, gdziekolwiek przebywał, zdawało mu się, że go szpieguje, ściga i prześladuje jeden z rządów europejskich. Stąd też nigdzie nie mógł zagrzać na długo miejsca, a nawet z nikim utrzymać trwałych stosunków przyjaznych. Zdarzało się często, że po kilka miesięcy nie pokazywał się żadnemu z ziomków i zwykle nie wiadano, gdzie mieszka. Gnany myślą, że go ścigają i prześladują, po opuszczeniu Europy (zdaje się w r. 1848) zwiedził Przylądek Dobrej Nadziei, Madagaskar, Australię, Amerykę Południową, Środkową i nareszcie Stany Zjednoczone.

Powiadał mi nieraz, że za najszcześniejsze chwile swojego życia uważa te parę lat, które przebył na międzymorzu Panama, spełniając obowiązek strażnika latarni morskiej przed portem Colon-Aspinwall. Obowiązkiem jego było o każdej szóstej godzinie zapalać lub gasić latarnię. Mieszkał o 10 mil od brzegu, sam jeden wśród morza na samotnej skale, której przez 26 miesięcy nie opuszczał. Co dwa tygodnie przywożono mu żywność (niekiedy żywe ptastwo lub barana, gdyż w tym klimacie mięso świeże pół dnia nie da się przechować). Raz mu przysłano pakę z gazetami i książkami polskimi - i to go wyгнаło z samotnego raj, w którym żył najszcześniejszy, bez Ewy i węża, jak się sam wyrażał. W liczbie przysłanych książek była **powieść Zygmunta Kaczkowskiego Murdelio**. Otóż w pewien mglisty dzień Siellawa tak się zaczytał przy lampie w owej powieści, że wiecznym prawem zapomniał zapalić lampę latarnianą. To zmyliło z drogi jakiś okręt i o mało nie stało się powodem rozbicia. Zaskarżono strażnika i Siellawa stracił miejsce. Odtąd znienawidził książki, a każdego, którego podejrzewał o złe względem siebie zamiary, nazywał „Murdelio”. Przysłanie zaś książek przypisywał intrydze [caratu].

W Nowym Jorku pracował po aptekach. Cierpiąc bezsenność, używał morfiny czy innego jakiegoś niebezpiecznego lekarstwa i tym się podobno otruł. Dopiero w kilka dni po jego śmierci ziomkowie dowiedzieli się o tym i pośpieszyli pochować.